

Tadeusz Rusnak

25 niedziela zwykła - Najmniejsi drogą Kościoła

Wrocławski Przegląd Teologiczny 2/1, 163-164

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

25 NIEDZIELA ZWYKŁA – 18 IX 1994

Najmniejsi drogą Kościoła

Katon Starszy, Rzymianin z czasów pogańskich, posiadał wielkie zasługi dla kraju, które też zjednały mu powszechne uznanie w społeczeństwie. Cieszył się ponadto wielkim autorytetem moralnym. Powstał więc projekt, by wznieść mu w Rzymie pomnik. Kato stanowczo temu sprzeciwił się. A jego wielbiciele próbowali przekonać go: „Przecież Rzymianie mogą się dziwić, dlaczego nie ma posągu Katona!” Ten miał wtedy odpowiedzieć skromnie: „Gorzej, gdyby dziwili się, dlaczego stoi posąg Katona”.

Zapewne niewiele jest ludzi podobnych do Katona. Nie bardzo mamy odwagę przyznać się do tego, że gdzieś tam w zakamarkach naszej duszy śnią się nam sny o sławie, popularności, rozgłosie, wrzawie wokół nas; o jakimś „pierwszym miejscu”. Nie ma wśród nas takich absolutnie bezinteresownych altruistów, którzy chcieliby w swoim działaniu pozostawać nie zauważeni. Miłość własna, w najróżniejszych jej przejawach, zabarwia każde nasze działanie, nawet podjęte z najbardziej szlachetnych pobudek.

Nie byli wolni od tych ułomności także uczniowie Jezusa, którzy w drodze posprzeczaali się między sobą o to, kto z nich jest największy. Przebywali już od trzech lat w „seminarium” Jezusa, już rozpoczęła się droga męki, już Jezus odbywa ostatnią drogę do Jerozolimy, gdzie zwykle ważyły się losy proroków, gdzie zostanie wydany w ręce grzeszników, a oni, tak niepojętni, jeszcze nie zrozumieli, co znaczy być pierwszym w Jego Królestwie, co znaczy pójść za Chrystusem. Wobec tego Jezus jeszcze raz, przed pójściem na mękę, wstępuje do domu celem dalszego pouczenia uczniów. Nie uczynił tego od razu, gdy szedł wśród pól galilejskich z uczniami prowadzącymi spór o pierwszeństwo. Ale – jak zanotował Marek – Jezus wszedł do domu Szymona i Andrzeja w Kafarnaum, gdzie często przebywał, i usiadł. Usiadł, to znaczy przybrał postawę nauczyciela, który swoim uczniom ma coś ważnego do powiedzenia. I rzekł do nich: *Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i sługą wszystkich* (Mk 9,35). Następnie stawia dziecko w pośrodku uczniów, z którymi się identyfikuje: *Kto przyjmie jedno z tych dzieci w imię moje, mnie przyjmuje* (Mk 9,37). Identyfikując się z dzieckiem, identyfikuje się tym samym ze wszystkimi „małymi”, ze wszystkimi biednymi, znajdującymi się w skrajnej nędzy: *Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczynicie jednemu z tych braci najmniejszych, mnieście uczynili* (Łk 25,40). W najmniejszych można znaleźć Jezusa, a przez Niego Ojca Niebieskiego: *A kto mnie przyjmuje, nie przyjmuje mnie, lecz Tego, który mnie posłał* (Mk 9,37). Ci najmniejsi, najbardziej potrzebujący pomocy, mają stać w centrum zainteresowania uczniów. Tę posługę „ostatniego” mają uczniowie spełniać w imię Jezusa. Tę samą posługę ma spełniać także Kościół w każdym czasie „tu i teraz”. Ma tej powinności świadomość Papież-Polak, gdy twierdzi, że biedni są opcją Kościoła dzisiaj i że wszyscy jesteśmy za nich odpowiedzialni (por. *Sollicitudo rei socialis*, nr 38).

Są biedni w Afryce, w Ameryce Południowej, w innych częściach świata, którym brak chleba powszedniego i których trzeba nakarmić, ale także u siebie mamy wielu biednych. Pomijając patologię społeczną, duszpasterze parafii podczas tegorocznej wizyty duszpasterskiej mogli zauważyć, jak wielu biednych im przybyło na skutek bezrobocia i drożyzny. Dzisiaj już nie może być parafii bez zaangażowanego zespołu charytatywnego. Jeśli drogą Kościoła jest człowiek, to przede wszystkim ten najmniejszy, z którym jakoś specjalnie utożsamił się Chrystus i o którego się upomni. Istnieje realne niebezpieczeństwo dzisiaj, że Kościół może zdradzić Chrystusa i zasadniczo sprzeniewierzyć się sobie samemu, gdyby nie wszedł na drogę posługiwania najmniejszym. Kościół – to znaczy nie tylko księża. To także chrześcijanie świeccy.

I nam wszystkim, a zwłaszcza ludziom biznesu, dedykuję historię życia człowieka, która może nas czegoś ważnego nauczyć.

Młody John Rockefeller miał – jak większość ludzi – jeden cel: być bogatym i niezależnym. Przecież był on także gotów ciężko na to pracować. Muskularny chłopak wysiłał się w tym kierunku tak bardzo, że sam dla siebie stał się niewolnikiem. Kiedy miał 33 lata, zarobił pierwszy milion dolarów. 10 lat później był już królem ropy naftowej (królem nafty), szefem Standard Oil Company. Znow 10 lat później opanował całe wydobycie ropy naftowej w USA. W 1892 roku Standard Oil Trust jako niepotrzebny został rozwiązany. 53-letni wielki przemysłowiec musiał zapłacić za swój sukces finansowy utratą zdrowia. Zaczęły mu wypadać włosy, brwi i rzęsy. Mężczyzna, który tygodniowo inkasował milion dolarów zysku, mógł tylko jeść rogalika z mlekiem. Rockefeller był szczególnie zniechęcony z powodu pól naftowych w Pensylwanii. Ażeby mieć jeszcze większe zyski, spowodował bankructwo konkurencji. Król nafty potrzebował odtąd straży osobistej, a wyglądał jak postarzały i niekochany człowiek. Lekarze dawali mu nie więcej niż 12 miesięcy życia, a w niektórych redakcjach gazet zostały już wydrukowane nekrologi.

Podczas jednej bezsennej nocy uświadomił sobie: „Ani jednego dolara ze sobą nie weźmiesz, kiedy umrzesz! Pieniądze to nic! Nie będziesz miał z tego żadnego błogosławieństwa. A twój spadek zakasują inni”. Praktycznie i konsekwentnie, jak stawał się najbogatszym człowiekiem na świecie i pierwszym miliarderm, zaczął on już następnego ranka pomagać chorym, biednym, misjonarzom. W 1913 roku założył specjalną fundację. Wspierał milionami dolarów projekty naukowe. Jego naukowcy uwolnili stany południowe od klęski szarańczy. Im też zawdzięczamy badania nad penicyliną, skuteczną walkę z malarią, gruźlicą i dyfterytem. Sam John Rockefeller powoli stawał się zdrowym. Przez to, że obdarzył innych miłością, otrzymał także miłość. Mógł znow spokojnie spać, jeść, radować się, przezwyciężać niepowodzenia. Mężczyzna, który w wieku 53 lat powinien umrzeć, dożył 98 lat. Długie życie osiągnął przez dobre dzieła. Jest on najwymowniejszym dowodem na to, że przynoszą one człowiekowi błogosławieństwo. Dusza i ciało zdrowieją przez dobro. Ponieważ tym, którzy Boga miłują, wszystko przysparza dobro. Można by zakończyć tę historię Jezusowym: *Idź i ty czyn podobnie.*

ks. Tadeusz Rusnak